Rozmaitości

Dnia 18. Maja **Nr 20.** 1839 Roku.

WYZDROWIENIE.

Usuńcie troskę czule zasmuceni!
Już łza boleści zacnego sternika
Błysła urokiem nadziei promyka:
Wraca Bóg dziecko mu z grobowych cieni!
Już w serce matki błoga rozkosz wnika,
Bo życie z drogich lic syna promieni,
I darń stęskniona już trawką zieleni,
Bo ją łza matki śmiercią nie przenika!
Ciężkiemi łzami pobożni rodzice
Spłacili srogą woli nieba próbę;
Już anioł cofnął zamierzoną zgubę!
Już barwi zdrowiem cierpiącego lice,
Wraca rodzicom dziecko, dobre, lube,
Świetnych nadziei, mnogie obietnice!

R. O. N.

ZNAMIĘ MACIERZYSTE.

Obraz wojny z r. 1813.

1.

Zmiennych kolei losu doznawało Drezno w r. 1813. Podkopniki marszałka Davoust wielką część kamiennego mostu na Elbie minami w powietrze wysadzili. Zaradczy środek ten miał zasłaniać odwrót szczątków wojska francuzkiego, które z mroźnych stepów Rossyi wracając, jeszcze prawie od zimna zdrętwiałe, ku niziniom Elby się posuwało. W tydzień poźniej, nie było już ani śladu francuzkiego wojska w tém mieście. Przerwę mostu spojono tymczasowie grubemi belkami z dębowego drzewa. Wkrótce zatętniły na nim kopyta żartkich, kozackich koni. Dońcy z kudłatą brodą, Baszkiry z zadartym nosem, w dziwacznym stroju, przypominający dawny, dziki naród scytyjski; Kałmuki z wklęsłemi, chińskiemi oczyma, i inni mieszkańcy nieprzebranej rasy Azyi, uzbrojeni dzidami, sypali się tłumnie i tak spokojnie do miasta, jak gdyby już gościnnego przyjęcia pewnymi byli. Przez sześć tygodni miasto Drezno zostawało w ręku Rossyjan; lecz wkrótce potem odmieniła się scena. Przybyło mnóstwo wozów z rannymi, których w artyleryjskich szopach nad Elbą umieszczono. Rozeszła się pogłoska o przegranej bitwie. W potężnych kolumnach przeciągały bez ustanku piechota, jazda, kozacy; powózki z pakunkiem i rannymi; artyleryja z jaszczykami; Kałmuki, Baszkiry i oddziały jeńców, po największej części Neapolitańczyków; wielbłądy i żołnierze pędzący na rzeź bydło; wszystkoto cisnęło się tłumnie za rogatki Frejberskie. Nakoniec nadeszły pruskie i rossyjskie raporty o bitwie pod Gross-Görszen stoczonej; oraz dowiedziano się, iż z przemagającą siłą ciągnie wojsko francuzkie. Po niejakim czasie dał się słyszeć grom dział w oddaleniu, a w nocy na wszystkich wzgórzach miasta zabłysły ognie, wróżby nowego krwie rozlewu. Pomiędzy wojskiem rossyjskiem, gotującém się do wyruszenia, widać było szybkie obroty. Drewniane belki, któremi most na Elbie związano, poobwijano w nocy słomą i podłożono proch dla wysadzenia ich w powietrze. Dzień ósmego maja był wstępem do nowej bitwy, która się teraz rozpocząć miała. W rozmaitych oddziałach wyruszali żołnierze z miasta. Niewstrzymanym pędem gnali po ulicach kozacy i wygłaszali swoje wrzaskliwe: »Hurra! koli, koli Francuza!« Przerażeni mieszkańcy zatarasowawszy drzwi, pozamy-

kali się w swoich domach; odgłos: »Francuzi, Francuzi idą!« rozległ się po całém mieście. Mieszkańcy najbliżsi rzéki widzieli jak się belki mostu zajęły; wybuch, podobny do ziejącéj ogniem góry, śród strasznego płomienia wyrzucił z okropnym trzaskiem i łomotem na wszystkie strony belki, i zażegł wóz rossyjski, naładowany beczkami wódki, który spóźniwszy się w przejeździe, w znaczną odległość rzuconym został. Znajdująca się w beczkach wódka buchnęła zielonawym płomieniem, który blaskiem słońca przyćmiony, słabe tylko światło wydawał. Zaprzężone konie, pokaleczone od wybuchu, rozbite nagłém uderzeniem i osmalone płomieniem, nadaremnie wspinały potargane członki swoje. W dojmującym bolu, wydając okropne rzenie, wlokły jeszcze kilka kroków swój ciężar, aż nareszcie pod razami litościwych zabójców swoich padły na ziemię. Kilku pojedyńczych zbiegów, wymknąwszy się z miasta, pognało jeszcze przez rogatki Cegielne ku mostowi na Elbie, który pod włością Blazewitz na łyżwach był postawiony. W tym samym czasie od przeciwnéj strony miasta, dał się widzieć w czwał pędzący trębacz 3. francuz. pułku huzarów, który razem wściągniąwszy konia, zatrąbił trzykrotnie przed ratuszem i krzyknąwszy: »*Vive l'Empereur!*« ruszył w powrót z kopyta. Wkrótce po nim przyleciał także przez Cegielną ulicę brygadyjer francuzki. Z pospiechem otoczyli go ciekawością zdjęci mieszkańcy, i częstując winem i jadłem, prosili, aby im powiedział, w jakim stanie zostają rzeczy, lecz oficér zajęty posileniem się, nié miał czasu do odpowiedzi. Wypadki, które nastąpiły, rozwiązały dokładniéj ich zapytania, niż jeździec utrudzony. Z chrzęstem i wojenną wrzawą nadciągnęła pod dowództwem wicekróla Eugeniusza francuzka jazda; wicekról kazał swoim szwadronom ku mostowemu szańcowi eszelonami podstąpić, sam zaś zatrzymał się przed kościołem S. Eliasza. Jakkolwiek z największym pospiechem gnała armija francuzka, przecież Rossyjanom powiodło się przeprawić przez blazewicki most łyżwowy. Kozacy, którzy odwrót ten zasłaniali, puścili się przez most czwałem, a zaledwo ostatni tentęt ich koni zamilkł, już most stał się pastwą płomieni. Czarne i gęste kłęby dymu zasłoniły cały widokrąg. Zwolna płynął palący się most łyżwowy po Elbie i sypał iskry aż do kamiennego mostu, przy którym po niejakim czasie do szczętu zgorzał.

Miasto, w którém jeszcze przed kilką chwilami rozlegały się rossyjskie i azyjatyckie głosy, stało się teraz znowu widownią życia wojowników francuzkich. Tak nagła zmiana rzeczy przeraziła mieszkańców miasta. Wiadomy był Napoleonowi nieprzyjaźny sposób myślenia mieszkańców, którzy chwiejnemu Rejnierowi wyraźnie buntem zagrozili, gdy tenże zabiérał się do wysadzenia w powietrze mostu, téj najpiękniejszéj ozdoby Drezna. Dla tego podobnie jak niegdyś Maryjusz pod murami przelęknionego Rzymu, oczekiwał Napoleon przed rogatkami posłów zatrwożonego miasta, które już wojskiem jego było zalane. Wicekról nakłonił magistrat do wysłania deputowanych naprzeciw zagniewanemu imperatorowi. Gdy ci z trwogą przed nim stanęli, przeszył ich przenikliwym i pochmurnym wzrokiem swoim. Mówił do nich z gniewem i z niemałą groźbą, lecz przebaczył ich wykroczenie. Dopiéro po południu odbył swój wjazd przez rozstawione szeregi gwardyi narodowéj. Tak tedy w swojéj strasznéj, acz niepokaźnéj postaci wjechał znowu w miasto ten wielki mąż przeznaczenia; na dumne, gniewne czoło nasunął groźnie swój kapelusik, a posępne, niedowierzające oko spuścił na grzywę swego bułanego rumaka, który pod niespokojnym jezdcem nieustannie się wspinał.

Parna, trwożliwa noc rozpostarła czarny płaszcz swój nad całém Drezném, które nazajutrz z piérwszym dnia brzaskiem grzmoty dział ze snu obudziły. Nowe-Miasto zostawało jeszcze ciągle w ręku Rossyjan, zkąd oni na Stare-Miasto gradem kul sypali. Francuzcy strzelcy pospieszywszy na taras i do domów znanych pod nazwą Włoskiéj-wioski, na lewym brzegu leżącéj, posyłali wzajem rzęsisty, grad kul przez Elbę. Napoleon w szarym surducie, z założonémi w tył rękami, przechadzając się spokojnie po najniebezpieczniejszych miejscach, uważał obroty nieprzyjaciela na przeciwnym brzegu. Gdy się to działo, nagle zaczęły do szturmu posuwać się massy wielkiéj armii francuzkiéj, na wy-

parcie nieprzyjaciela z miasta, w którém ten zmordowany już Tytan ostatniemi siłami utrzymać się zamyślił. Przez wszystkie rogatki jak nawalne chmury tłoczyły się do miasta pułki francuzkie. Widziałeś tam osobliwsze, a nawet dziwaczne gatunki broni; szczególniéj jeden pułk piechoty zwrócił na siebie uwagę widzów, że podoficérowie jego, zamiast karabinów, mieli pewien rodzaj wideł od siana, na pamiątkę utarczki w wojnie amerykańskiéj, w któréj żołniérze tegož pułku, napadnięci pod nocną porę, nie mając pod ręką broni, pochwyciwszy widły od siana, Anglików do szczętu znieśli. Rossyjanie widząc oczewistą przewagę wykonali z Nowego-Miasta odwrót budyszyńskim gościńcem. Napoleon zamierzywszy sprzymierzonym wydać stanowczą bitwę, wyruszył z swojém wojskiem ku Luzacyi.

W trwożliwéj niespokojności oczekiwano wypadków, które nastąpić miały. Na otwartym placu między zamkiem a mostem, stali w rozmaitych kupach ciekawością zdjęci mieszczanie, którzy żaląc się na uciążliwy kwaterunek, poglądali ku leśnym wzgórzom, zasłaniającym budyszyński gościniec. Gdy oto z przestrachem w twarzy przypada do nich jakiś człowiek i woła: »Nadaremnie czekacie panowie, już się wszystko skończyło! Napoleon poległ w ostatniéj bitwie pod Budyszynem!« Jak gdyby bomba pośród nich padła, tak na tę wieść rozprószyły się grupy na wszystkie strony. Niektórzy nie chcieli temu dawać wiary; lecz wypadek, który piérwéj wielu z nich na własne oczy widziało, zupełnie się zgadzał z tą wieścią. Właśnie przed kilką godzinami przejechał był w posępném milczeniu z cesarską cyfrą i herbami powóz od Budyszyna przez Drezno. Na twarzy kilku z pospiechem konwojujących oficérów francuzkich, malowała się tajemna żałość i trwoga, i w samym zamku widać było ruch nadzwyczajny.

Nie było żadnéj wątpliwości. Napoleon zginął! Drezno, które w bardzo krótkim czasie, albowiem w przeciągu kilku tygodni na przemiany, to najeżone piki kozackie, to unoszące się orły francuzkie widziało; Drezno, którego dachy jeszcze okryte były rossyjskiemi i francuzkiemi kulami, zagrzmiało teraz tą, przez wszystkie okoliczności potwierdzoną pogłoską: Już nie ma Napoleona! poległ pod Budyszynem od kuli działowéj.

Jeszcze brzmiał odgłos tego wielkiego, los Europy stanowiącego wypadku w uszach wszystkich mieszkańców miasta, gdy oto z rana dnia 10. czerwca, na wszystkich wieżach ozwały się dzwony. »Jestto cześć pogrzebowa poległemu cesarzowi Francuzów!« Tak mówiono sobie po cichu, gdy zaczęto bić w dzwony. Ale gdy coraz uroczyściéj, coraz głośniéj i żywiéj rozlegał się ich odgłos, mieszkańcy wysypawszy się z swoich domów, pobiegli tłumem ku mostowi. Aż oto, téj samej chwili, blaskiem porannego słońca oblany, i lśniący od złota nadciągnął francuzki sztab jeneralny, a na czele jego widać było znowu mały kapelusik, szary surdut, rzymską, miedzianą, dziejom świata przekazaną twarz z dużemi, jak wyrocznia milczącemi oczyma, z których nie człowiek, tylko przeznaczenie przemawiać się zdawało.

Napoleon nie zginął. Tajemny powóz, który nie dawno przez miasto Drezno przeszedł, wiózł nie jego zwłoki, ale walecznego Duroka, który na polach Egiptu dla tego uszedł tysiąca niebezpieczeństw, aby gorącą krew swoję przelał na piaskach luzackich!

Miasto przedstawiało téj chwili dziwaczny obraz życia. Obok nędzy i niedostatku, obok kłopotów i wysileń mieszkańców, odbijał się z dumą szyderczą blask przepychu dworu cesarza Francuzów. W teatrze Markolińskiego ogrodu, w którym Napoleon swą rezydencyję założył, popisywali się: wielkiéj sławy artysta Talma, młodsza podówczas o lat dwadzieścia i pięć panna Mars, St. Prix i Armand, którzy przybyli z Paryża, a późniéj także i panna Georges, która z Petersburga wróciła. Tym sposobem podczas gdy wewnątrz przepych i nędza, radość i trwoga sprzeczne z sobą na przemiany wyprawiały igrzysko, w tym samym czasie miasto w około szańcami opasywano. Z rozwagą przygotowywano okropne łoże śmierci, w którém się walka za wolność europejską rozstrzygnąć miała. Rzuciwszy wzrokiem na tę dziwaczną sprzeczność przeznaczenia, jaka podówczas w Dreznie ostro się objawiała, zbliżamy się teraz właściwie do zamierzonéj naszéj powieści.

Z ciekawością przypatrywała się publiczność sypaniu okopów, które jakby owe ba-

jeczne, w ziemię wrosłe, na stróżów przeznaczone olbrzymy, ku czeskiemu gościncowi z każdym dniem coraz bardziéj się wznosiły. Nagle przypędził na koniu blady, uznojony i krwią zbryzgany przez Pirnawską rogatkę dragon z doniesieniem, że Rossyjanie i Austryjacy, pod dowództwem Wittgenstajna, korpus St. Cyr pod Berggieshübel odparli. Niepomyślną wiadomość tę potwierdziło także kilku przybyłych rannych, których ilość coraz bardziéj powiększać się zaczęła. Byłoto hasło do nowéj, krwawéj ceny, żałobna przegrawka do wielkiéj, stanowczéj bitwy, w którą lekką szkicę naszéj powieści umieścimy.

Pozamykano bramy. Trwożliwe, niespokojne wróżby powitały pełne przeznaczenia zaranie. O pół mili od miasta rozwinęły się linije francuzkiéj piechoty; w oddaleniu zaś, na wzgórzach pomiędzy włościanami Leubnitz i Räknitz, dały się dostrzegać oku ciemne massy wójsk sprzymierzonych. W oddaleniu słychać było pojedyncze wystrzały z ręcznej broni. Mieszkańcy przedmieść, przejęci trwogą i uznojeni pod ciężarem swych ruchomości, z pospiechem chronili się do miasta. Zamknięto Pirnawską bramę; jedna tylko Jezierska brama stała otworem; przez tę cisnęły się tłumem jazda, piechota, ranni, i mieszczanie z swojemi dziećmi, dźwigając pościel sprzęty i inne rupiecie w największym nieporządku. Coraz bardziéj zbliżał się rzęsisty ogień karabinowy. Na polach w około Wielkiego Ogrodu widać było pośród mgły snujące się ciemnych jeźdzców postacie, których długie dzidy z daleka się migały. Bylito rossyjscy kozacy. Nie było Napoleona w téj utarczce; pospieszył on do Budyszyna. Zwątpiałe umysły nie dawały już żadnéj wiary pogłosce, że Napoleon w sto tysięcy ludzi miastu w pomoc przybędzie. W miejsce jego przybył Murat, który w swoim haftowanym i złotemi sznurkami wyszywanym, krótkim surducie, w żółtych butach, raczéj na dowódzcę króla Hunów zakrawał, niż na europejskiego wojownika 19go wieku. Szczęściem, że to był śmiały, waleczny żołnierz, i dla rozpoznania stanowiska nieprzyjaciela żwawo podstąpił pod wzgórza przez Rossyjan zajęte. Kula na niego podówczas jeszcze nie była ulaną. Podczas gdy sprzymierzeni ogromném półkołem coraz bardziéj i bardziéj ścieśniali miasto, które jak kamienny Laokoon pod pierścieniami kruszcowego olbrzymiego węża zdruzgotaném być miało, Murat przypuszczając ślepy atak, okrzykami zwycięztwa starał się w wojsku i w mieszkańcach wzbudzić odwagę. Z Reknickiego i Czertnickiego ogrodu paszcze rossyjskich dział ryczały krwawą zemstą; z trzaskiem padały kule na dachy i bruk przedmieść drezdeńskich. Francuzka reduta, która długo za ogrodem Moszyńskiego stała spokojnie, zamieniwszy się nagle w potwór ogniem ziejący, zaczęła buchać płomieniem i miotać kule na działobitnie rossyjskie. W nocy zatlały niezliczone ognie wójsk sprzymierzonych po górach nad lewym brzegiem Elby, a wierzchołki ich, jak gdyby wulkany odbijały krwawą łunę w jéj strumieniu. Podług wojennego zwyczaju milczały zégary na wszystkich wieżach. Posterunki francuzkie atakowane od nieprzyjacioł, posuwały się coraz bliżéj pod miasto, wojska ich przymuszone były ustąpić nawet z Wielkiego Ogrodu; zdawało się, że los przeznaczył w dzisiejszym dniu zgubę 14go korpusu.

Aż oto nazajutrz, dnia 26. sierpnia, zatętniły z chrzęstem na kamiennym moście z Budyszyna idące cesarskie wierzchowce i powozy, za niemi nadciągnęli pojedyńczy jeźdzcy i żołnierze, a wkrótce po nich nadjechał Napoleon. Zwycięztwo odniesione pod Budyszynem promieniło twarz jego, gdy usta dumnym i dwuznacznym uśmiechem przemawić się zdawały; pozorem zaniedbanéj postawy, starał się ukryć brzemię myśli i trosek, które pod obojętném, wygładzoném czołem zdobywcy świata uporczywie, ale w milczeniu ze sobą się ścierały. W kilka godzin poźniéj, przez most pospiesznym krokiem nadeszło czoło wielkiéj armii z rozwiniętemi chorągwiami i z takim hukiem jańczarskiéj muzyki, jak gdyby westchnienia ludzkości zagłuszyć miało. Sama nawet ziemia drżała pod nogami śmiercią pogardzających zastępów, które świat ujarzmiły. Chciały one właśnie zwrócić w lewą ku miastu, gdy Napoleon na przeciw nim od bramy Zamkowéj konia przypuścił i ręką wskazawszy: »Do Fryde『chstadtu!« zawołał. Szkoda, że go w téj chwili jaki malarz pod

pęzel nie chwycił, gdy on lekko, ale wyprężnie podniósł rękę, która do rozkazów przyzwyczajona, jak gdyby mimowolnie w imponującém skinieniu zdrętwiała, zwolna tylko, a potém niedbale się spuszczając do bioder przyległa.

Nastała krótka przerwa; francuzkie wojska użyły jéj do nabicia broni. Odwiedzione kurki zatrzeszczały. To słowo: »Marsz!« rozległo się w powietrzu i powtórzyło w szeregach; z okrzykiem: »*Vive l'Empereur!*« śród zamieci dymu i gradu kul ruszyły massy do boju. A mąż przeznaczenia siedział spokojnie na swoim buławym koniu; z pod lekko spuszczonych brwi poziérał okiem, jak gdyby liczył głowy wszystkich walecznych, którzy za niego na pole śmierci ciągnęli, jak gdyby rachował krople krwie, które dzisiaj miał do rozdania. W około niego stali jak planety marszałkowie z błyszczącym od złota Muratem, a szérokiém półkołem otaczały go żandarmy, stróże jego wojennego Olimpu, podczas gdy adjutanci, podobnie wietrzącym krukom Odina, tegoto strażnika trupów, z raportami tam i nazad latali.

2.

Zacięta wojna srożyła się wściekle w około zalęknionego miasta. Grobla z szyków wójsk francuzkich, o które powódz potęgi nieprzyjacielskiéj rozbić się miała, rozciągała się od brzegów Elby aż do Freiberskiego gościńca, a ztamtąd aż do Weiserycu, zkąd wychodząc w otwarte pole, obwarowaną była pięcią okopami, które wzajemnie się zasłaniając, u rogatek Cegielnych, Pirnawskich i Dohnaskich, przy ogrodzie Moszyńskiego, nakoniec u rogatek Falken i Freiberg po lewéj stronie gościńca się wznosiły. Potężnie spojona linija ta mocno była obsadzona piechotą i działami, a wszelki przystęp obwarowany palisadami. Na wzgórzysty gościniec budyszyński pozataczano działa.

Na te obwarowane miejsca zamierzyli uderzyć sprzymierzeni. Wyruszywszy sześcią kolumnami, którym trzysta dział straszliwie przegrywało, dobijali się o drzącą oblubienicę, o stołeczne miasto Saskiego Królestwa. Niepodobieństwem było wstrzymać szturm piérwszy. W Pirnawskim szańcu stał batal jon młodéj gwardyi, któréj kilka pułków dopiéro nie dawno na rozkaz Napoleona na prędce w Moguncyi zebrano. Jeszcze przed kilką dniami widać było, jak ci młodzi nowicyjusze w poblizkości szańcu Napoleona przed Czarną bramą, w Nowém-Mieście, ćwiczyli się w robieniu bronią, a dziś ustawiono ich już w samym środku morderczéj bitwy. Nieprzyjacielska bateryja o cztérdziestu działach miotała z swoich paszczy na przeciw nim z Wielkiego Ogrodu ogień straszliwy. Kule biły tak gęsto i potężnie w przedpierśń okopu, iż darń z piaskiem wyrywana w całych bryłach rozlatywała się na wszystkie strony. Nie długo trwało, a już szczyt szańcu był zerwany; przekopa napełniona po większéj części gruzami, nie dawała już bardzo uszczuplonym obrońcom dostatecznego schronienia. W téj chwili oddział pruskiéj piechoty wyruszył dla zdobycia nieszczęsnego szańcu. Słaby ogień załogi nie mógł wstrzymać tego straszliwego natarcia. Większy opór stawiły w głębi szańcu palisady, które, chociaż w niektórych miejscach przez zawalone okopy znacznie zasypane, jednak spiczaste wierzchołki swoje, niedostępne kulom działowym, z zaciętością w górę jeżyły. Prusacy przedrzéć się przez nie usiłowali koniecznie. Widząc takie niebezpieczeństwo, rozpacz obudziła najzaciętszą odwagę, a młokosy, z których ta gwardyja po największéj części złożoną była, którzy dzisiaj, podług żołniérskiego wyrazu, po raz piérwszy proch wąchali, walczyli z takiém męztwem, jakieby i starym weteranom zaszczyt przyniosło. Schyleni za palisadami, jak czatujące tygrysy z pomiędzy szczelin wbitych palów, kłuli bagnetami i pałaszami, każdy otwór był dla nich strzelnicą, przez które ognia dawali; walczyli z nieustraszoną odwagą starych żołniérzy i z przebiegłą zwinnością chytrych morderców. Prusacy rozjątrzeni niespodzianym oporem i stratą, którą ponieśli, podwoili swą natarczywość i z odnowionym zapałem starali się przesadzić przez palisady. Ale skoro tylko który z nich poważył się ręką uchwycić palisady, by się przez nię przerzucił, już ją bagnet przeszył, szabla przecięła, albo kolba na miazgę stłukła. Czarną krwią zlały się palisady; poodcinane pięści i palce okryły zmieciony piasek, podobnie jak stół anato-

micznéj sali. Albowiem skoro tylko który z odważnych nieprzyjaciół wdarłszy się na palisady, zamierzył na drugą stronę spuścić nogę, już Francuz utopił w nim bagnet, i tak przebity, na ostrzu palów musiał wisiéć długo, śród okropnéj męczarni. Nakoniec ani odwaga obrońców, ani palisady nie zdołały oprzéć się natarciu przemożniejszego nieprzyjaciela; wyłamano ścianę, a zemstą wrzący i okropną śmiercią swych towarzyszy rozżarty nieprzyjaciel, jak gdyby powódz lunął w okopisko.

Zdobyto szaniec. Nie wielu pozostałych jego obrońców w pień wycięto. Tylko trzech młodzieńców, zasłoniętych z jednéj strony wzniesioną kupą ziemi, i nawalonémi trupami, oparłszy się jeden o drugiego, walczyło jak lwy zażarte. W strasznym natłoku ani oni, ani ich przeciwnicy broni swojéj nabić nie mogli. Jak morderczy szermierze potykali się nieustraszeni młodzieńcy, mając w jednéj ręce szablę, a w drugiéj broń z bagnetem, którą pośrodku lufy uchwyciwszy, to ostrzem przeszywali nieprzyjaciela, to kolbą druzgotali mu piersi i głowę. Nawet najodważniejsi nie śmieli przystąpić do tych trzech zaciekłych zapaleńców, którzy jak opętańcy z rozjuszoną wściekłością się bronili. W tém nagle pękła bomba w pobliżu; kilku Prusakow ciężko skaleczonych padło trupem, a francuzka kolumna podwójnym krokiem z miasta wyruszyła na odsiecz. Prusacy byli przymuszeni zwrócić się przeciw nowemu nieprzyjacielowi, który się na nich z wielką wściekłością rzucił. Szaniec już odebrany, został znowu zdobytym. Trzech młodzieńców nadzwyczajném natężeniem z sił wycieńczonych, leżało na krwią przesiąkłym piasku. Bylito Niemcy. Dwóch z nich, bardzo ciężko ranionych, Fracuzi do lazaretu zanieśli. Trzeci, ładny blondyn, mający lat około 20, silnéj i zuchwałéj postawy, wyszedł prawie cudem z pośród walki bez szwanku. Pociągnął żwawo gorzałki z manierki, którą mu podał sierżant francuzki, i odetchnąwszy głęboko, obejrzał zamek u strzelby. Sierżant, który jaką taką kaléczył niemieczczyzną, przypatrywał mu się z wielkiem upodobaniem: »Cały djabeł z ciebie, chłopcze,« rzekł pomusnąwszy wąsa, »walczyłeś jak Francuz!«

»Walczyłem jak człowiek honoru!« odrzekł młodzieniec obojętnie, prostując swój bagnet, który się zgiął w boju.

»Słuchaj! nie poszedłbyś do miasta, trochę sobie wypocząć po téj gorącéj łaźni?« zapytał sierżant z uśmiéchem.

»A toż dla czego, nie jestem wcale zmordowany, a ten szaniec potrzebuje jeszcze obrony,« odrzekł młodzieniec obojętnie, poprawiając na sobie poszarpany mundur.

»Ale jak widzę, tu nam znowu djabelnie dogrzéwają,« rzekł sierżant, spojrzawszy na nieprzyjacielską działobitnię, która znowu ogniem miotać zaczęła. »Do pioruna! Tak gęsto biją, jak gdyby piaskiem sypali. Oho! ten otrzymał tęgie poczesne! Ten także! Biédny Jakóbie!«

Młody Niemiec spojrzawszy za wzrokiem sierżanta postrzegł, iż téj saméj chwili kilku gwardzistów od kartaczów trupem poległo.

Szaniec zupełnie zdemontowany nie był już zdatny do obrony. Młoda gwardyja, która na odsiecz przybyła, postrzegłszy, iż bateryja nieprzyjacielska ogień zjąć nie przestaje, i szyki ich pomostem ściele, przeraziła się na ten widok. »W tém miejscu nikt nie dostoi! To znaczy poświęcać się nadaremnie!« krzyknęło kilku.

Nowy wystrzał, który jeszcze więcéj ludzi trupem położył, poparł to zdanie. Młoda gwardyja pierzchnąwszy z stanowiska, ku miastu się puściła. Nadaremnie wstrzymywali ją oficérowie, nadaremnie sierdził się i klął sierżant wąsaty. Wszystko nic nie pomogło. Kilku żołniérzy z staréj gwardyi, którzy dla rozrywki na odsiecz przybyli, poziérając ze wzgardą za zbiegami, z miejsca nie ruszyło.

»Poczekajcie podłe tchórze,« rzekł z nich jeden olbrzymiego wzrostu; my wam pokażemy, ażali tu się utrzymać można!« To rzekłszy skinął na sześciu swoich towarzyszy, którzy z nim razem przybyli, i poszedł z nimi umyślnie na najwyższy szczyt zburzonego szańcu, gdzie nieprzyjacielskie kule bez wszelkiéj zapory jak grad leciały, i tam po zewnętrznéj krawędzi wszyscy przechadzać się zaczęli. Młody Niemiec sądząc, że tego konieczna wymagała potrzeba, chciał się do nich przyłączyć.

»Zostań chłopcze!« rzekł stary sierżant wstrzymując go od tego kroku. »Zabawka ta nie dla takich jak ty młokosów.«

»Na co się drugi odważy, tego i ja się nie ulęknę,« odrzekł młodzieniec z krwią oziębłą, i wyrwawszy się z ręku sierżanta téj saméj chwili z siedmią starymi gwardzistami się złączył. Poczém wszyscy ci zapamiętalcy, nie zważając na wymierzone przeciw nim nieprzyjacielskie działa, bez wszelkiego innego zamiaru, jak tylko aby zawstydzić rozpierzchnionych gwardzistów, wolnym krokiem

ront na około okopu odbywać zaczęli; ale jeden z nich przepłacił życiem to uporczywe swoje zuchwalstwo. Kula działowa prawie na pół go rozerwała tak dalece, iż pozostali przechadzkę swoje odbywając, przez trupa kroczyć musieli. Jednakże oni poprawiając sobie bermice na głowie i z szyderską miną poglądając na grzmiącą bateryję nieprzyjacielską, przechadzali się spokojnie po krwią spluskanym szańcu. (Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

W piérwszych dniach nadchodzącego miesiąca czerwca wyjdzie nakładem księgarni J. Millikowskiego dziełko w języku polskim: *O praniu za pomocą pary.* — Metoda ta najpiérwéj we Francyi do prania chust zastosowana, a ostatniemi czasy tak dalece sproszczona, że w każdém choć najmniejszém gospodarstwie domowém użytą być może, metoda ta mówię zasługuje, aby i u nas upowszechnioną została. Oszczędza się przy niéj wiele paliwa, mydła, czasu i roboty ręcznéj, a bielizna staje się lśniąco-białą i potrwa trzy razy dłużéj niż zwyczajnym sposobem prana. Idzie tylko o to, abyśmy chcieli wziąć się do tego, co już gdzie indziéj długiemi doświadczeniami sprawdzono.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 20. i obejmuje: 1) Porównanie siejby buraków z sadzeniem flanców. 2) O kwiatach gruntowych (ciąg dalszy). 3) Uwagi o praniu wełny. 4) Koszta zakładu fabryki cukru w Królestwie Polskiém. 5) O fałszowaniu mleka. 6) O sile koni pocztowych. 7) Magnes przeciw wojnie.

P. Karol Lipiński przybył do Petersburga dnia 20. kwietnia.

Wiadomości literackie. W Poznaniu wyjdą w dniach tych z druku: *Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła,* dzieło niezmiernie ważne (jak »Tygodnik literacki« powiada) do dziejów Polski za Władysława IV. i Jana Kazimiérza. Wydawca Edward hrabia Raczyński. — Uczony Michał Wiszniewski, profesor przy uniwersytecie w Krakowie, przygotował do druku: *Historyją literatury polskiéj,* w trzech tomach. Tamże zacny i uczony p. Paweł Czajkowski przełożył na język ojczysty: *O powinnościach*, Cycerona, i w obszérnéj rozprawie wykazał ducha wszystkich pism tego wielkiego mowcy. (T. L. P.)

Temi czasy wielu Polaków ze szkodą literatury swojéj pisze w obcych językach. I tak jakiś C. Jauiński wydał: *Mozaik-Erzählungen,* w Altonie; młody Koźmian pisuje do angielskich dzienników; Trentowski i Cieszkowski rozbiérają w języku niemieckim wzniosłe przedmioty filozoficzne; Władysław Tarnowski, Anielewski, Biernacki piszą powieści dla dzienników niemieckich, ostatni do dziennika *Komet.* Piszących po francuzku jak dawniej tak i teraz jest najwięcéj; między tymi chwalą mianowicie *Poezyje* Ostrowskiego, a nie dawno w Wilnie wydał poezyjne dzieło francuzkie hrabia Juliusz Strutyński, pod tytułem: *Lydia.*

Ze świata muzykalnego. W Wilnie wsławia się teraz jako kompozytor młody Wiktor Każyński. Znaną i cenioną jest jego muzyka do kilku melodram i operetek, dawanych na teatrze wileńskim, jakoto: *Switezianka, Izora, Granowski, Ludmiła, Duch matki rodu Dobratyńskich* i t. d., lecz znawców zachwycił mianowicie (jak w Nr. 29. »Tygodnika Petersburskiego« wyczytujemy) swoją najnowszą muzyką do dramatu Grillparcera: *Podziemny wychowaniec,* przedstawionego w przekładzie polskim na scenie wileńskiéj d. 30. marca r. b. Chwalą w téj muzyce: »bogactwa instrumentalne połączone z wspaniałym, wszelkie namiętności wyobrażającym spiewem.«

Z Pragi. *Wesna, almanach pro kwetaucj swet,* wydany i na rok bieżący przez Jarosława Pospiszyla, gorliwego zwolennika literatury czeskiéj, ozdobiony dwiema rycinami, z których jedna wizerunek Rudolfa księcia Kińskiego przedstawia, mieści prace Wł. Sw. Sztulca, Józ. Kaj. Tyla, Wences. Jar. Picka i t. p. znanych pisarzy.

Z Mnichowa donoszą co następuje: Kolosalny, posągiem Szyllera naładowany powóz, przejeżdżając d. 16. kwietnia przez rogatki Królewskie, zwrócił na siebie uwagę publiczności. Atrybuta woźnicy i konie przyozdobione były kolorowemi wstęgami, a na przodzie powozu umieszczoną była tarcza z napisem: Fryderyk de Szyller, uwieńczona żywemi wawrzynami, podczas gdy po prawéj i lewéj stronie bawarskie i wirtemberskie chorągiewki powiewały. Transport ten odjechał już do Stutgardu.

Z Paryża. Najznakomitsi tutejsi nakładnicy książek zamyślają izbie parów przedłożyć prośbę, pod względem wniosku do ustawy, dotyczacéj się literackiego majątku. Żądają oni, aby przedrukowanie tytułów książkowych taką samą karą dotknięte było jak przedrukowanie książek, albowiem osoby, trudniące się przedrukiem, zaczęły od niejakiego czasu tytułami sławnych książek zaopatrywać nikczemne pisma, które z wielką szkodą dla księgarskiego handlu w obieg puszczają.

Z Konstantynopola. Niejaki p. Carlo Sartori otworzył tu znowu na przedmieściu Giumus-Kustczyjaki teatr filharmoniczny, w którym opery i komedyje na przemiany dawane będą. Na otwarcie teatru dano komedyję Scribego, pod tytułem: *Tout pour le mieux.*

Piękny pomysł. W romansie, wydanym przez Leopolda Scheffer, pod tytułem: *Tschang-Sing-Yo,* który zresztą jest bardzo nudny, znajduje się między innemi bardzo piękne porównanie: »Żyć na tym świecie jestto wdziérać się na wysoką górę. Dziecię wdziéra się na nię pośród tysiąca kwiatów. Góra ta aż do połowy jest jeszcze zielonością pokryta; potém zaczynają niknąć w około niéj najprzód drzewa, poźniéj pomniejsze krzewy, a na samym szczycie stoi już obnażona, kamienna opoka, którą same tylko mroźne owiéwają wiatry, a z tego szczytu już żadnego kwiatka u podnóża góry nie dostrzeżesz! My wszyscy nie przynosimy na szczyt téj góry nic więcéj jak tylko bijące serce i od zimnego wiatru spłakane oko, a nawet samo niebo, które nam dzieciom na dole błękitem być się zdawało, już nad białym włosem starca groźno i czarno się zawiesza! A wtedy dokąd, dokąd?«

Zasady zaletą człowieka. Zasady są prawdy, które często przeciw nam samym powstają, tak w życiu jak w umiejętnościach. Nieraz chcielibyśmy je zmienić, ale nam w odpór się stawią. W zwyczajnych czynnościach dobrze jest niekiedy od nich odstąpić, ponieważ wyjątek jest czasami zbawienny. Ale skoro się raz ustalą, natenczas odmiana ich szkodę przynosi; czasami zamilczeć je wypada, a mianowicie w obcowaniu z ludźmi i wyrokowaniu o nich; ale lekce ważenie, lub zupełne zaniechanie ich, zawsze na złe wychodzi.

Sposób poznania ażali czarne sukno w wełnie jest farbowane. Czarne sukno nie wy-

chodzi bynajmniej z mody, i z tego powodu bardziéj, niż każde inne jest w używaniu. Atoli wielki odbyt jest także przyczyną, iż tak bardzo poszukiwany towar ten częstokroć nie w wełnie, ale dopiero w postawie jest farbowany. Ponieważ więc takowe sukno bardzo się prędko wyciéra, a na słońcu, dészczu lub wilgotném powietrzu pełznie i szarzeje; dla tego sądzimy, iż podając łatwy środek do odkrycia wszelkiego w téj mierze oszukania, ważna dla publiczności uczynimy przysługę. Gdyby autor niniejszego artykułu wiedział był o tym środku przed kilką miesięcami, zanim sobie sprawił frak czarny, nie byłby zapewnie poniósł szkody. Środkiem, którym się łatwo poznaje, ażali sukno farbowane jest w wełnie, a zatém ażali otrzymało trwałe dno farby indygo, albo ażali tylko kampeszem, czyli błękitném drzewem, i żelazową solą farbowane, jestto sól szczawikowa *(Sauerkleesalz)*. Roztworzywszy trochę nadmienionéj soli w dystylowanéj wodzie, macza się korek w tym rozcieku i przyciska nim czarne sukno. Jeżeli wełna grunt farby indygo w siebie wzięła, a zatém jeżeli ma farbę dobrą i trwałą; w miejscu, w którém przyciśniony był korek, za chwil kilka pokaże się zielonawo-oliwkowa plama; jeżeli zaś sukno nie ma w sobie indygo, i jest tylko żelaznym albo miedzianym witriolem na czarno zafarbowane, natenczas plama na suknie, na którém korek przyciśnięto, będzie miała kolor płowy albo też ciemno-pomarańczowy.

Cena za poprawki artykułów do redakcyi pism peryjodycznych nadsyłanych. — Dziennik frankfortski jest tego zdania, iż bardzo pożądaną byłoby rzeczą, aby redaktorom dzienników opłacano pewną kwotę za trud i czas, który częstokroć na poprawkach i przerobieniu nadesłanych artykułów marnować są przymuszeni. Kto nigdy nie był redaktorem, ten ani wyobrażenia miéć nie może, jakim gniewem płonie nieraz redaktor, gdy się przez zarosłe chaszcze przedziérać musi, zanim sobie wolny widok utoruje, a jeszcze taki widok, że nawet mimo wszelkiéj pracy wytrzebionym artykułem żadnéj sławy pismu swemu nie zjedna. Teraz nawet dzieci przysyłają do redakcyi artykuły z prośbą, aby im po dziesięć talarów jako *honorarium* za arkusz drukowy płacono. Umieszczamy tu następującą cenę zwyczajną, z któréj się takowi nadsyłacze artykułów przekonać mogą, iżto oni właściwie za przejrzenie każdego pisanego arkusza po dziesięć talarów redakcyi *honorarium* opłacaćby powinni. A cena byłaby następująca: 1) Za interpunkcyję i poprawianie każdéj omyłki podług dobréj pisowni — 1 grosz. (W przeciągu lat dwóch każdy redaktor jużby był majętny.) 2) Za poprawkę omyłek gramatycznych — 4 gr. (Docbód bardzo znaczny.) 3) Za wyrzucenie szpuntów, niewłaściwych epitetów, naciąganych rymów, niestosownych i plugawych porównań i szalono-romantycznych myśli — 3 gr. (Za tę pracę możnaby wkrótce zostać panem milijonowym.) 4) Za nadanie prawdopodobieństwa słowami starożytnych autorów naszpikowanéj powieści, za wyświecenie sensu i dążności w upiorycznych balladach lub podobnych rozgorzałych fantasmagoryjach (bardzo ciężka robota) — 1 talar. 5) Za sprostowanie wykrzywionego charakteru kochanki w romansie (niewdzięczna praca) — 1 talar 8 gr. 6) Za wykorczowanie nudnéj ciotuni z obrazu życia — 3 talary 2 gr. — z pieskiem 3 talary 12 gr. 7) Za wprowadzenie mistycznéj w światłocieniu unoszącéj się duchowéj postaci w powieści historycznéj — 4 talary. (Przez częste zużywanie towar ten teraz tak rzadki, iż go trudno gdzie znaleźć.) 8) Za uśmierzenie utyskiwań i narzekań nad losem świata — 3 luidory od pisanego arkusza (wielkie niebezpieczeństwo dla redaktora, ponieważ po przejrzeniu takowego artykułu wykrzywia mu za zwyczaj kurcz gębę i rozdziawia ją do nieustającego ziewania), i za tym podobne uchybienia. Za nadesłanie rękopisu, któryby jako tako ze zdrowym rozumem się zgadzał, z wyż oznaczonéj ceny cokolwiek opuścić przyrzekamy. Do przyjęcia nadesłanych artykułów pod temi warunkami każda redakcyja gotowość swą oświadcza.

Sławny tancerz. Pewien właściciel winnéj góry w Lugdunie przed nie dawnym czasem wpadł na myśl wszystkich towarzyszy swego syna zaprosić na obchód winobrania. Młodzieńcy postanowili przedstawić dramat, którym się przedtém w szkole popisywali; tym sposobem rozrywka, mająca być tylko studencką zabawą, w prawdziwy festyn zamienioną została. Na to improwizowane widowisko pospraszano wszystkich właścicieli gór w okolicy. Podczas przedstawienia sztuki uwielbienie nie miało końca. Tymczasem nadspodziane zdziwienie doszło do najwyższego stopnia, gdy jeden z komiczną zwinnością tańczyć zaczął. Trzykrotnie zniewalano go do powtórzenia tańcu, i za każdą razą okrywano go coraz większemi oklaskami. Nowy ten tancérz został bohatérem festynu; damy przymilały się do niego, mężczyzni życzyli mu szczęścia, a włościanie mieli go za nadludzką istotę. Po skończonym festynie pewien człowiek zbliżywszy się do tancérza, rzekł: »Jeżeli wćpan nie masz wstrętu od teatru, radziłbym mu, abyś do tego zawodu usposobić się starał.« Człowiekiem tym był St. Elme, aktor przy wielkim teatrze w Lugdunie, a młody chłopiec, nazwiskiem Perrot, o którym mowa, został późniéj tancérzem i jest teraz najsłynniejszym w téj sztuce.

Angielska niedziela. Wiadoma jest powszechnie surowość, z jaką w Anglii ten dzień świąteczny *the sabbath day* obchodzą; surowość ta zmienia się w karykaturę, jak poznać można z wniosku, umieszczonego w piśmie publiczném w Glasgowie, podług którego każdéj niedzieli wszystkie domy chirurgów i apteki zamkniętemi być mają, utrzymując, iż sprzedawanie w tym dniu lekarstwa jest wyraźném znieważeniem sabatu.

Czy to instynkt, czy rozum? Lord Brougham w swojém najnowszym piśmie opowiada bardzo ciekawy wypadek o kotce, która się razem z ptakiem wychowała i do niego bardzo przyzwyczajoną była. Jednego dnia zdarzyło się, iż kotka ta rzuciła się nagle na swego pierzastego przyjaciela, który właśnie na klatce siedział. Po dokładném rozpoznaniu téj rzeczy okazało się, że obca kotka, która ukradkiem wcisnęła się do pokoju, chciała go schwycić w swoje pazury, a domowa kotka dla tego tylko schwyciła go i mrucząc w pysku trzymała, aby go tamta nie pożarła.

Skuteczna recenzyja. Aktorowie europejscy uskarżają się po największéj części na krytyków, iż takowi w pismach publicznych poważają się czasem ganić małą pracą wyposażone ich przedstawienia. Cóżby na to powiedzieli aktorowie chińscy, którym jeżeli się nie powiedzie grą swoją zabawić mandaryna, albo jaką inną znakomitą osobę, natychmiast Chińczykowie mają dla nich medycynę uniwersalną, to jest: bastonadę. Najprzód wyciągają bohatera sztuki w zupełnym stroju teatralnym na ziemi, i dają mu w pięty recenzyję dobitną, po nim biorą aktorów, grających podręczne role, z których każdemu stosowną do zepsutéj roli porcyję wymierzają. — Możeby i u nas na takową recenzyję estetyka w górę podskoczyła.

Redaktor Jan Nep. Kamiński.   *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*